ROK XIV Styczeń-Luty 1939 1

Hosanna



2-u miesięcznik muzyki kościelnej

TREŚĆ ZESZYTU:

Prenumerata za dwumiesięcznik wynosi od 1. I. - 1938 r.

Rocznie . . . 3 zł. Półrocznie . . . 2 zł.

Zagranicą . . . 1 dolar.

Cena pojedyńczego N-ru . . . . — 50 gr.

Ceny ogłoszeń:

1/1 strony z kliszą	50 zł.	½ strony z kliszą	30 zł.
¼ strony bez	40 zł.	Drobne ogłoszenia bez	20 zł.

Szanownych naszych prenumeratorów — uprzejmie prosimy o jak najszybsze wpłacanie należności za I półrocze 1939 roku. Nr. conta w P. K. O. 20-044.

„Drukarnia Loretańska" — Warszawa, ul. J. Sierakowskiego 6, tel. 10-29-53



ś † p

Ojciec św. Pius XI.

Ojciec św. Pius XI ur. 1857 r.; umarł 10 lutego 1939 r. Za Jego Pontyfikatu odrodzone melodie gregoriańskie ogarnęły świat katolicki, a także rozległy się śmielej w Polsce. Wydał encyklikę *Divini Cultus*, w której nawołuje świat katolicki do pielęgnowania śpiewu liturgicznego w nabożeństwach kościelnych.

Requiescat in pace.



Ś † P
J. Em. Ks. Kardynał Aleksander Kakowski.

Dnia 30 grudnia 1938 r. spoczął w Bogu J. Eminencja Ks. Kardynał Aleksander Kakowski, Arcybiskup Metropolita Warszawski. Pod Jego rządami wprowadzany został odrodzony śpiew gregoriański do seminarium metropolitalnego, do katedry św. Jana, oraz do niektórych parafij Archidiecezji warszawskiej.

Requiescat in pace.

HOSANNA

DWUMIESIĘCZNIK MUZYKI KOŚCIELNEJ

ORGAN OBLATÓW BENEDYKTYŃSKICH W WARSZAWIE — AFILIOWANYCH PRZY BAZYLICE ŚW. PAWŁA ZA MURAMI W RZYMIE

Redaktor X. H. Nowacki — Redakcja, Admin. i Eksped.:
Warszawa, Jezuicka 6, m. 3, tel. 2-29-40

Śpiew grecko-rzymski.

(Tłum. z franc. Ciąg dalszy)

Jego porządek. Można by było wznieść się do czasów dawniejszych od tych, o których dają świadectwo wyżej wspomniane rękopisy. Próbowano dojść do prymitywnej formy *Antiphonarium missae* gregoriańskiego; w tym celu należałoby wyłączyć msze i te części, które wprowadzono dla zgodności antyfonarza z postępem liturgicznego kalendarza. Trzeba by więc było wyłączyć msze następujące:

1. Wszystkie czwartki Wielkiego Postu, msze te bowiem sięgają czasów pontyfikatu Grzegorza II.
2. Święto św. Trójcy wprowadzone w IX w.
3. Święto poświęcenia kościoła.
4. Niedziele po dniach kwartalnych.
5. Czwartek po Zesłaniu Ducha Św.
6. Święta Matki Bożej poza oktawą Bożego Narodzenia.
7. Uroczystości Krzyża Świętego wraz z dodatkami greckimi.
8. Uroczystości świętych: Łucji, Feliksa in Pincis, Grzegorza, Aleksandra, Ewencjusza i Teodula, Primusa i Felicjana, Apolinarego, Agapita, Adriana, Gorgona, Protusa i Jacka, Eufemii, Hieronima, Marcina.

Studium tekstów samego jądra gregoriańskiego po odtrąceniu późniejszych dodatków jest wysoce pouczające. Ponieważ śpiewy *Ordinarium missae* kształtowały się inaczej od *Proprium* i nie były na początku powierzane śpiewakom, nie trzeba ich przeto szukać w najstarszych rękopisach, nie stanowiły bowiem one części składowej antyfonarza św. Grzegorza.

Temporał i Sanctorał były tworzone w osobnym dziale stosownie do obrotu roku liturgicznego, co trwało do XII w.; wtedy je rozbito na dwa działy, ale uczyniono to z niezbyt dokładną troską tak, iż mszały, graduały i inne księgi jeszcze dziś zachowują niektóre święta z sanctorału zabłąkane w Temporale, czego dowodem niech będzie św. Szczepan, z Niewiniątkami i św. Janem w oktawie Bożego Narodzenia. Te święta z czasem pociągnęły do siebie jeszcze św. Tomasza Kantuaryjskiego. Około 600 r. nie było jeszcze nawet *Communae Sanctorum;* dla każdego święta śpiewy były oznaczone na miejscu, wedle tego, czy znajdowały się, lub nie w poprzedniej części księgi. Dopiero począwszy od XII w. częsty powrót tych samych melodii i tekstów doprowadza do urządzenia *Commune Sanctorum*, gdzie każdy dział świętych: apostołów, męczenników, wyznawców i t. d. miał sobie właściwe śpiewy tak, iż wystarczyło na dzień świętego odesłać śpiewaka do komunału, skąd czerpał potrzebne melodie, w razie gdy dany święty specjalnych śpiewów własnych nie posiadał. Gregoriańska księga śpiewów mszy nie znała podziałów, a śpiewy liturgiczne szły po kolei z obrotem roku liturgicznego, jak na to wskazuje numer 339 rękopisu biblioteki San Gallen, któremu jako świadkowi śpiewu rzymsko-katolickiego wypada słów parę poświęcić.

Jego układ. Rękopis 339 zawiera *Antiphonale Missarum*, oraz sporo części sakramentarza złączonych w jeden komplet. oprócz tego *brewiarium* oznacza czytanie na każde święto ze specjalnymi dodatkami, wreszcie jest i *calendarium*. Starano się dać celebransowi taką przysługę, jaką wymagano od t. zw. pełnych mszałów. Antyfonał obejmuje str. 33 — 174 rękopisu. Rozpoczyna się mszą *Ad te levavi* na pierwszą niedzielę Adwentu. Niedziela ta i następna są nazwane w tym rękopisie: Dom. IV, III, II, ante Natale Domini, podczas gdy dalej w sakramentarzu niedziele te mają naszą dzisiejszą nazwę: I. II. III. IV. Od Adwentu antyfonarz postępuje bez przerwy stosownie do biegu świąt o świętych i o czasie. Zachowuje się porządek mszału rzymskiego, z małymi wyjątkami. Niedziele po Zesłaniu Ducha Św. i święta sanktorału mają alleluje zebrane razem po dwudziestej czwartej niedzieli, pod rubryką: *All. dominicis diebus, vel nataliciis sanctorum per circulum anni.* Tekst allelujowych wersetów wzięty jest z psalmów i trzyma się niedzielami porządku psałterza. Stały zwyczaj epoki odsyłania po alleluja na koniec graduału tłomaczy się swobodą posługiwania się nim z kolei, lub dowoli. Wreszcie znajdujemy pięćdziesiąt siedm antyfon, przeznaczonych w czasie procesji, lub na inną okoliczność.

d. c. n.

Procesja Wielkanocna.

Wyjątkowy dzień w roku, poświęcony pamiątce ustanowienia Najśw. Sakramentu, wyjątkowe też ma ceremonie. W kościołach katedralnych ceremonie te są liczniejsze i wspanialsze i na uczestnikach wywierają silne wrażenie. Należy te ceremonie dobrze rozumieć i poprawnie wykonać, bo tylko wtenczas osiągną one swój cel. By ułatwić wykonawcom powyższe zadanie, rozbierzemy jeden z obrzędów tego dnia, a mianowicie: na podstawie przepisów rubrycznych wyjaśnimy szczegółowiej, jak należy odbywać procesję po mszy uroczystej z Najśw. Sakramentem do miejsca przechowywania Eucharystii przez całą następującą dobę.

O miejscu, do którego procesjonalnie przenosi się Najśw. Sakrament po Mszy wielkoczwartkowej, mszał tak mówi: „*Paretur locus aptus in aliqua capella Ecclesiae, vel Altari, et decenter, quoad fieri potest, ornetur cum velis et luminibus*“. — Należy przygotować odpowiednie miejsce w kaplicy czy ołtarzu i przyozdobić je jak najpiękniej zapomocą osłon i świateł. Ceremoniał biskupi nakazuje podobnie: „*Praeparandum, ornandumque erit aliquod sacellum intra ecclesiam, quo pulcherius magnificentiusque poterit, multis luminibus ornatum, et in eo altare cum sex candelabris, ac cereis*“ [1]). Należy przygotować i przyozdobić jak najpiękniej i najwspanialej jaką kaplicę wewnątrz kościoła z zastosowaniem dużo światła, a w niej ołtarz z sześciu kandelabrami i świecami woskowymi.

Oba przepisy kładą nacisk na przyozdobienie kaplicy, a mszał, tylko z braku kaplicy, pozwala poprzestać na przyozdobieniu ołtarza. Mszał między ozdobami wymienia *vela et lumina, a ceremoniał multa lumina.* Św. Kongregacja Sakramentalna w instrukcji swej z 26 marca 1929 r. tak pisze: „Hostia dla Mszy wielkopiątkowej powinna być przechowywana w kaplicy wewnątrz kościoła pięknie przybranej w osłony, kwiaty, światło. W kaplicy nie powinno być relikwii, ani obrazów, ani żadnych figur“. — Instrukcja więc Kongregacji dopuszcza do ozdoby jeszcze i kwiaty.

Zasłonić trzeba okna, oraz wszelkie figury i obrazy, które nie łatwo dadzą się usunąć. Same zasłony powinny być jasne, białe, złotawe, czy srebrzyste, bo nic ponurego tutaj zachodzić nie powinno. Na ołtarzu, prócz szafki na kielich i sześciu świeczników ze świecami woskowymi, niczego być nie powinno, najwyżej można dyskretnie umieścić nieco kwiecia między

---

[1]) Lib. II, c. XXIII, n. 2.

kandelabrami. Nie można ołtarza traktować, jako miejsce na wystawę kwiatową. Strzeżmy się rzucania światła z reflektorów na ołtarz. Najlepiej będzie, gdy ołtarz pozostanie nieco zcieniowany, bo jego oświetlenie stanowią świece, nieco wysunięte do przedniej części ołtarza. Natomiast kaplica powinna być obficie (multis luminibus) światłem zalana. Zieleń i kwiaty powinny więcej przyozdabiać samą kaplicę i otoczenie ołtarza, aniżeli sam ołtarz.

Powyższe przysposobienie i przyozdobienie miejsca dla N. Sakramentu jest tak obowiązkowe, że Św. Kongregacja Obrzędów, dekretem z dnia 28 marca 1775 r. (nr. 2503, 5) zabrania w tych kościołach, gdzie się nie przestrzega powyższych przepisów, odprawiać Mszy uroczystej, a więc i obrzędów, po niej następujących.

Dalszy przepis Ceremoniału brzmi tak: „*Praeparetur etiam baldachinum album perpulchrum, thuribula duo cum navicula, velum unum parvum pro Sacramento, alterum magnum et amplum, quod circum humeros Episcopi ponetur, dum Sacramentum portabit; et ambo haec vel sint sericea, vel aureata, aut pulcherrime ornata; calix item amplior et pulchrior ceteris, ubi Sacratissima Hostia reponetur; funalia, seu candelae cerae albae in numero sufficienti pro Canonicis et clericis; una inter cas picta et ornata pro Episcopo, quam unus ex suis Capellanis, vel scutiferis deforat in processione, accendendae*“. — Przygotować należy baldachim biały najpiękniejszy, dwie kadzielnice z łódką, okrycie jedno małe dla sakramentu, a drugie duże i szerokie, którem się okryje ramiona biskupa, gdy będzie niósł N. Sakrament; oba te okrycia (welony) powinny być albo jedwabne, albo złociste, lub przepięknie ozdobione; przygotuje się też kielich większy i ozdobniejszy nad inne, do którego będzie złożona Najświętsza Hostia; następnie świece z białego wosku w liczbie wystarczającej dla kanoników i kleryków; jedną świecę ozdobnie malowaną dla biskupa, którą w procesji poniesie jeden z jego kapelanów lub urzędników.

Do procesji więc potrzebny jest baldachim biały, najpiękniejszy, jaki kościół posiada, dwa turybularze, a łódka jedna wystarczy. Kielich okrywa się małym welonem, a duży welon daje się na ramiona celebransa; oba welony mają być jedwabne lub z tkaniny przetykanej złotą nicią lub w inny sposób wspaniale ozdobionej. Kolor welonów jest biały. Świecę biskupią większą i ozdobniejszą nad inne powinien nieść kapelan lub świecki urzędnik kurialny, postępując nieco z prawej strony za biskupem.

Po ostatniej ewangelii celebrans przybiera się w pluwiał. W tym czasie subdiakon w albie i tuniceli (inny od mszalnego)

bierze krzyż, okryty zasłoną fioletową, i mając po bokach dwuch akolitów ze świecami staje na czele procesji; za nim ustawia się kler również ze świecami zapalonymi w ręku. Następnie biskup, stojąc w mitrze na tronie, a inny celebrans, stojąc przy stopniach ołtarza, zasypuje kadzidło do każdego z dwuch turybularzy, a potem drugim turybularzem, trzykrotnym rzutem okadza N. Sakrament. Kielich z Hostią podaje celebransowi diakon asystujący. Mszał przepisuje, aby kielich okryć końcami welonu naramiennego, tymczasem w Ceremoniale Biskupim przepisu tego niema.

Podczas procesji chór, a jeszcze lepiej, gdy wszyscy obecni, po zaintonowaniu pierwszego wiersza przez kantora, śpiewają hymn *Pange lingua gloriosi*. Ten przepiękny hymn ułożył św. Tomasz z Akwinu w r. 1264 na zlecenie papieża Urbana IV. Treścią hymnu jest wezwanie do oddania czci wielkiej tajemnicy chwalebnego Ciała i najdroższej Krwi Zbawiciela za nas wylanej.

Sławcie usta Ciało Pana,
Tajemnicę pełną chwał
I Krew, źródło łask bez miana,
Którą w okup dusz i ciał
Syn Tej, co jest Nieskalana,
Król narodów, przelać chciał!
Słowo — Ciało — chleb prawdziwy
Słowem w Ciało zmienia nam,
Z wina Krwi mknie Strumień żywy,
Chociaż zmysł nie sięga tam,
Żądnych prawdy serc porywy
Wiary głos ukaja sam! [2])

Procesja postępuje drogą dłuższą, dwaj akolici przez cały czas okadzają N. Sakrament; baldachim towarzyszy celebransowi tylko do kaplicy, do której nie jest wnoszony. Gdyby hymnu zabrakło na całą procesję, to można go powtarzać, zaczynając od drugiej strony. W kaplicy, jeżeli hymn został już ukończony, podczas okadzania i chowania kielicha, śpiewa się *O Salutaris Hostia*, w przeciwnym razie *Tantum ergo Sacramentum.*

Wielki Czwartek jest rocznicą ustanowienia N. Sakramentu, stąd św. Kongregacja Obrzędów w dekrecie z dnia 14 maja 1887 r. zowie ołtarz Wystawienia „*altare repraesentativum institutionis augustissimi Sacramenti*“, co zostało jeszcze potwierdzone dekretem tejże Kongregacji z 15. XII. 1896 r.

Procesja, powyżej opisana, w obecnej swej formie ustaliła się dopiero w XVI wieku. Agenda np. prowincji gnieźnieńskiej

---

[2]) Przekład ks. Koryłowskiego T. J.

z r. 1578 jeszcze przepisuje odnoszenie N. Sakramentu w W. Czwartek (po nieszporach) do zakrystii, gdzie otaczano święte postacie światłem.

Pochodzenie procesji wielkoczwartkowej tłumaczy się dawnym zwyczajem przechowywania N. Sakramentu poza ołtarzem. Miejscem przechowywania Eucharystii w starożytności chrześcijańskiej były osobne budynki, przytykające do kościoła, a położone w pobliżu chóru, zwane na Wschodzie *pastoforiami*, a na Zachodzie *sacrarium*. Po uroczystej Mszy św. do sacrarium zawsze odnoszono pozostałe postacie eucharystyczne. Natomiast w w. XV. ustalił się już zwyczaj umieszczania tabernakulum na ołtarzu. I ta właśnie zmiana była pobudką do przenoszenia N. Sakramentu w W. Czwartek do osobnego miejsca, w którym adorowano Ciało Pańskie w rocznicę tego cudu Miłości Bożej. Uważano bowiem, że obrzędów Wielkiego Piątku nie można pogodzić z obecnością N. Sakramentu na Wielkim ołtarzu.

Starajmy się przeto zastosować do obecnych wymagań Kościoła i wykorzystać w nauce tego dnia znaczenie wielkoczwartkowych obrzędów; celem procesji tak bardzo uroczystej jest oddanie hołdu Zbawicielowi przez wiernych, zebranych dnia tego w kościele. Zachęćmy ich przeto do czynniejszego udziału w tej procesji. Jakby to było wspaniale, gdyby wszyscy obecni zgodnymi głosami wielbili Chrystusa, śpiewając zgodnie jednym głosem. *Pange lingua gloriosi Corporis mysterium...* Uczmy w szkołach tego hymnu, uczmy go w oddziałach naszych stowarzyszeń katolickich, niech śpiewają wierni hymn ten przy wspólnych Komuniach św., a wtenczas słowa i melodia prześliczna zapadną głęboko do duszy wierzącej i będą silną oporą przeciw podmuchom niewiary i neopoganizmu współczesnego.

X. J. Matulewicz.

Z podróży do Rzymu.

Godzina 21 minut 45 pociągiem do Krotoszyna, w dzień św. Szczepana wyjechałem do Rzymu. W klasie drugiej do samej granicy w przedziale było ciepło, przestronno i swojsko, gdyż jechał ze mną polski oficer z nadgranicza. Na granicy, jak zwykle, odbyły się trzy rewizje: paszportowa, celna i dewizowa. Oto już Niemcy. Jestem sam, nie czuję się obco, poczucie bezpieczeństwa daje mi pakt polsko-niemieckiej nieagresji. Przedział mój nad ranem zaczyna się zapełniać wojskową młodzieżą niemiecką, korzystającą ze świątecznego urlopu. Stacja Drezno, rzeczy Zum Aufbewahren (do przechowalni) i idę zwiedzić miasto. Wstępuję na moment do katolickiego kościoła,

by potem zobaczyć Zwinger, a w nim portrety polskich Augustów i Sykstyńską Madonnę Rafaela. Muzeum przytłacza swoim ogromem i doborem arcydzieł. Można tu istotnie wiele się nauczyć. Na szyldzikach w wielu sklepach są napisy, że „Żydzi nie są pożądani“ etc. Obiad w restauracji na dworcu. Sala jadalna, jedna z piękniejszych w Europie. Przypadkowo przysiadam się do stolika, a kelner widząc mię w sukni kapłańskiej, zwraca się do mnie po polsku. „Czym mogę służyć“. — „Czy Pan jest Polakiem?“, pytam. — „Jestem Świderski z Poznania, pracuję tu już od lat przeszło piętnastu i z radością obsługuję swoich“. Oczywiście skorzystałem z uprzejmości rodaka, który mi wyjazd w dalszą drogę ułatwił. Opóźnionym z powodu zasp śnieżnych pociągiem pojechałem w stronę Norymbergi. W przedziale było niezmiernie tłoczno i bardzo gorąco. Przed północą mocno spóźnieni przyjeżdżamy do Norymbergi. Ani tragarzy, ani taksówek. Trzeba było samemu swoje walizki zanieść do hotelu wirtemberskiego, wznoszącego się zresztą tuż obok dworca. Za pokój nieduży, ale bardzo wygodny ze wszystkimi dodatkami zapłaciłem z górą 7 marek. Miasto piękne w swoim średniowiecznym typie, ludzie wszędzie bardzo uprzejmi. Zwiedziłem oczywiście stary zamek i wieżę, w której pokazywano narzędzia tortur średniowiecznych. Schodziłem stamtąd w usposobieniu koszmarnym. Ludziom wrażliwym tej wieży oglądać nie radzę. Ale za to jak miło jest chodzić ulicami tego miasta, które przypomina nasze Stare Miasto w Warszawie. Szkoda tylko, że jest ono bardziej protestanckim, niż katolickim. Głęboką nocą wyjechałem z Norymbergi. Z powodu zasp śnieżnych i opóźnień, trudno było dowiedzieć się z którego miejsca peronu rusza pociąg w stronę Zürichu. Otrzymywałem sprzeczne informacje, trzeba było z walizkami samemu nie chodzić, ale po prostu biegać z góry na dół i z dołu do góry, żeby usłyszeć, że to nie z tego numeru idzie pociąg, a z drugiego. Takiego chaosu u Niemców nie spodziewałem się; pomyślałem sobie „wystarczy więcej śniegu, lub jaka inna niespodzianka, żeby przysłowiowa sprawność i organizacja niemiecka wykoleiły się“. Po wyczerpujących szukaniach właściwego pociągu, o bardzo spóźnionym czasie wyjeżdżałem wreszcie w stronę Sztuttgardu, a stamtąd w stronę Szwajcarii. Przesiadać się muszę dość często. Na stacji w Überlingen dowiaduję się, że jestem o 15 kilometrów od klasztoru benedyktyńskiego Beuron. Mimo całej ochoty nie mogę tam pojechać, gdyż kończy mi się pozwolenie trzydniowego pobytu w Niemczech i wyczerpały się moje 20 marek, na które miałem zaświadczenie. Jadę więc dalej. Odczuwam bardzo wyraźnie, że jestem w kraju nawskroś katolickim. Konduktorzy witają mię jak swojego. Wjeżdżamy na przedalpie, coraz wyżej i wyżej niesie nas pociąg, powietrze

już jest górskie, pogoda, samopoczucie nadzwyczajne. Tysiąc metrów nad poziomem morza. Stacja, ach jak to dobrze, że czekamy. Północ. Księżyc celebruje nad chmurami. Można patrzeć na góry wśród nieprawdopodobnej ciszy i kontemplować majestat wieczności. W Szafhausen spotykamy graniczną rewizję. Zjeżdżamy teraz do Zürichu. Jadę w przedziale ze starszą damą, protestantką, która jest uderzona, jak katolicy konduktorzy z radością witają mię i odnoszą się do mnie, jak do kogoś bardzo im drogiego i bliskiego. A oto Zürich. Tragarz zabiera moje rzeczy i prowadzi mię do hotelu po prawej stronie dworca. Zarządzający hotelem mówi mi na wstępie, że hotel ten jest katolicki i że w nim zatrzymuje się zawsze w czasie swej podróży Kardynał Pacelli.

Zatrzymałem się w Zürichu, ażeby poradzić się tutejszych powag lekarskich na stan moich oczu. Odwiedziłem prof. Haaba, który po zbadaniu mię orzekł, że oczy mam zupełnie zdrowe, mają one tylko wadliwą pozycję, która sprawia że na dalszy dystans widzę wszystko podwójnie. „Należy przyciąć mięśnie oczne z boku, zaopiniował doktór, ale operację tę drobną nie potrzebuje Ksiądz robić w Szwajcarii, macie znakomitych chirurgów okulistów w Warszawie, oni to doskonale potrafią“. Uspokojony znacznie, resztę czasu przed odjazdem z Zürichu, poświęciłem na jego zwiedzanie. Zdążyłem jeszcze wieczorem zrobić dwugodzinną wycieczkę statkiem po jeziorze Zürichskim. Wrażenie, jakie sprawia Zürich wraz z przyległymi miejscowościami, kiedy to wszystko razem jest wyilluminowane światłami elektrycznymi jest niezatarte. Ten olbrzymi amfiteatr światła jest poprostu wizją nie z tego świata. Mimowoli przypomina się hymn: *Caelestis urbs Jerusalem beata pacis visio.* Chociaż katolików w Zürichu jest sporo, jednak pamiętać trzeba, że Zürich jest stolicą kalwinizmu. To też ogarnia mię tęsknota za krajem katolickim; jest on zresztą niedaleko. Za tunelem św. Gotarda, przez który jedzie się 20 minut, zaczyna się Szwajcaria Włoska; niemiecki język urywa się, ustępując włoskiemu. Zjeżdżamy w stronę Lombardii. Od stacji celnej Chiasso już jesteśmy we Włoszech, śnieg widać wszędzie i na górach i w dolinach. Mijamy ostatnie góry, w przedziale moim są sami Włosi. Nareszcie znowu atmosfera katolicka. Jeszcze trochę i już jesteśmy w Mediolanie. Jak zwykle zamieszkałem w najbliższym obok dworca hotelu. Całe miasto było w nastroju sylwestrowym. Tego dnia w operze La Scala dawano Werthera, Masseneta. Oczywiście na operze nie byłem, gdyż w całych Włoszech, zarówno, jak i w Warszawie przestrzegany jest 140 paragraf prawa kanonicznego, który opiewa, że księżom do teatrów na widowiska chodzić nie wolno. W Nowy Rok po odprawieniu Mszy św. w kościele św.

Kamilla, w czasie której przystąpiło do Komunii św. wielu, wielu mężczyzn, pojechałem na sumę do katedry. Tu przeżyłem niezmiernie podniosłą chwilę. Znalazłem się tuż przy prezbiterium. Jeden z prałatów celebrował Mszę w rycie ambrozjańskim, koncelebrował sam kardynał Schuster. Ogromne wrażenie wywierało podnoszenie olbrzymich ośmiu kierc, w czasie podniesienia hostji i kielicha. Nie można było oczu oderwać od osoby samego kardynała, którego sposób bycia przy ołtarzu był wzorem, jak należy sprawować służbę bożą przed Panem. Cała nawa przed prezbiterium była wypełniona inteligencją męską; chór mieszany (soprany i alty — chłopcy) śpiewał mszę polifoniczną bez zarzutu. Szkoda tylko, że organy często niepotrzebnym forte pochłaniały głosy, ten terror instrumentu nad głosami stawał się chwilami nie do zniesienia. Pomimo to opuściłem katedrę pod wyjątkowo podniosłym wrażeniem. Pomyślałem sobie: Jaką siłę apostolską ma w sobie biskup tak sancta sancte sprawujący, jak ten uczony, a pokorny kardynał. Taka celebra toć to prawdziwe odsłanianie Majestatu Bożego na ziemi. Po południu już byłem w drodze do Genui. Częste góry, czasem tunele, a wszędzie na polach śnieg. W moim przedziale jakiś Włoch i Włoszka. Zawiązuje się między nami rozmowa. „Przykro nam jest katolikom, mówi Włoszka, że księża nasi nie biorą udziału w naszym życiu, tak jak np. w Polsce. Oni stanowią tu jakby osobne „ghetto". Proszę sobie wyobrazić np. że księdza proboszcza, który dawał ślub mojej córce, prosiłam, aby wziął udział w naszej uczcie weselnej. Odmówił. Powoływałam się na przykład Pana Jezusa, który przecież był na weselu w Kanie i sam cudownie dostarczył wina. I to nie pomogło. Odmówił. Wreszcie przyrzekałam, że będzie dla niego pokój osobny, w którym będą tylko sami mali chłopcy. Odmówił. Takie izolowanie się naszych księży od życia naszego robi nam przykrość. Wprawdzie tu i tam są wyjątki, ale te wyjątki nie są aprobowane przez ogół duchowieństwa włoskiego".

Trudno było rozmowę prowadzić dalej, gdyż ukazała się oczom naszym Genua. Na pięć minut przed nią śnieg już się skończył, powietrze miękkie i czyste, gdyby ptaszki śpiewały, byłaby całkowita wiosna. Koleją nadmorską mknie nasz pociąg do Rzymu, co chwila wlatujemy w dłuższy, lub krótszy tunel, żeby wyleciawszy stamtąd zobaczyć albo morze, albo nowy górski krajobraz z zamczyskami pod szczytem, albo tuż nad brzegiem morza jadąc widzieć skały i słyszeć głośniejszy od łoskotu kolejowego plusk fal. Mijamy Livorno, Pizę ze sławną pochyłą wieżą, jeszcze trochę wzgórz i oto wjeżdżamy w równiny Rzymskiej Kampanii. Zdala ukazuje się Rzym. Wkrótce jesteśmy już w mieście, z prawej strony mignęła nam bazylika św. Pawła,

jeszcze chwila i jesteśmy już na stacji. Pierwsza troska, czy tragarze są? Przez okno widać stoi ich długi szereg. Rzeczy przez okno i idziemy do taksówki. „Macchiavelli 18“ wołam. Szybko i zwinnie sunie taksówka, z boku mijamy bazylikę Santa Maria Maggiore, w której dyrygentem chóru jest ks. Licyniusz Refice, jeszcze minuta i zajeżdżamy pod klasztor SS. Nazaretanek. Tymczasem pod klasztorem na otwarcie drzwi czekał starszy ksiądz, potężnej konstytucji. Ujrzawszy mnie, wychodzącego z taksówki, pyta: „Swój“? — „Tak jest“. — „Z Warszawy?“ „Tak jest“ — odpowiadam. „Słodki, kochany, z naszej Warszawy, chodźże tu, uściskajmy się!“ Okazuje się, trafiłem na ks. prałata Wróblewskiego (brata jenerała z Warszawy) kompozytora, poetę, który przez wiele lat pracował w Ameryce. Otrzymałem pokój na pierwszym piętrze. Tegoż dnia przy kolacji poznałem ks. Mikołaja Łazarewicza, Rosjanina, łacińskiego obrządku znakomitego językoznawcę ziem słowiańskich. Nazajutrz zaś przy obiedzie poznałem miejscowego proboszcza oraz kapelana sióstr ks. Schiopę. Wpadał do nas czasem ks. prałat Meysztowicz, profesor prawa na uniwersytecie Wileńskim, który na czas świąt zjeżdża do Rzymu pomagać jako prawnik tutejszej polskiej ambasadzie przy Watykanie, oraz p. Bronowski, radca wspomnianej ambasady. Co to za radość! nie mając żadnych celów naukowych jak tylko religijne, módz wyjść na Rzym i samemu z przewodnikiem, książką i mapą, chodzić po kościołach i odwiedzać tych świętych, co to jak najdrożsi przyjaciele zostali zaszczepieni do duszy przez brewiarz. Agnieszki, Pryski, Sabiny, Anastazje teraz można było widzieć w chwale, we czci w ich kościołach. Jednym z celów religijnych mego przybycia do Rzymu było przyjęcie oblatury św. Benedykta. Już przed rokiem w Rzymie u św. Pawła za murami zostałem przyjęty do oblackiego nowicjatu. Niejeden pewno ciekaw, co to jest oblatura św. Benedykta? Otóż św. Benedykt napisał regułę. Pod tą regułą żyją Benedyktyni i Benedyktynki w klasztorach. Dla świeckich zaś i kapłanów, którzy chcą żyć według ducha Świętego Patriarchy, św. Benedykt nie pisał specjalnej reguły, jak to dla zakonów tercjarskich uczynili św. Dominik, lub św. Franciszek; ta sama reguła, którą żyją Benedyktyni i Benedyktynki obowiązuje oblatów t. j. te osoby spośród kapłanów i świeckich, którzy przez obłóczyny i profesję, złożoną w ręce opata danego klasztoru, weszli do duchowej rodziny tego klasztoru i żyją jego duchem. Jakież są obowiązki oblatów? Mieć ciągły kontakt z regułą benedyktyńską i duchem jej przepajać codziennie swoje życie. Służyć idei benedyktyńskiej t. j. pielęgnować modlitwę liturgiczną Kościoła; na niej kształtować wewnętrzne życie duchowe, działalnością życia stwierdzać ustawicznie, że

„hic est Christus". Przy dzisiejszym dość bezkształtnym typie religijności w Polsce, przy budzącym się i powoli rozwijającym się życiu liturgicznym, potrzeba zakonów benedyktyńskich jest po prostu paląca i to przede wszystkim w stolicy Polski w Warszawie. Jedyni Benedyktyni są zakonem o temperamencie pierwszych wieków chrześcijaństwa, jako tacy, samo przez się są pomostem między Zachodnim i Wschodnim Kościołem; św. Benedykt kształtował swą duchowość na św. Pachomiuszu i św. Bazylim, cerkiew prawosławna czci go jako swego świętego. Stąd ze wszystkich zakonów na Zachodzie ludom Wschodu najbliżsi są Benedyktyni, jako właśnie ci, co pielęgnują ideały najdawniejszych wieków Kościoła. Niech o tem świadczy choćby ten fakt, że powstałe w 1924 r. w Dorpacie prawosławne bractwo pod wezwaniem św. Benedykta, stawia sobie za cel odrodzenie chrześcijaństwa przez wskrzeszenie ideałów pierwszych wieków chrześcijaństwa, jego mistyki i ascezy (członkowie wstrzymują się od powtórnych związków małżeńskich, oddają się umartwieniu, postom, odmawiają brewiarz, dziesięciny oddają na dzieła miłosierdzia). Bractwo to liczy dzisiaj z górą 20 tysięcy członków w różnych częściach świata. Benedyktyni w Warszawie więc to wielka stacja nadawczo-odbiorcza na Wschód i Zachód jedności Kościelnej, to pierwszy wielki most tej łączności i rzeczywisty w tej sprawie krok naprzód.

Zanim więc zostaną wskrzeszone dawne klasztory benedyktyńskie, jak np. klasztor na Świętym Krzyżu i powstaną nowe, a przede wszystkim w Warszawie i rozpoczną tworzyć podstawy tej wielkiej kultury katolickiej, opartej o typ starochrześcijański, zjawiają się tymczasem w Warszawie pierwsze jaskółki benedyktyńskie: oblaci i oblatki św. Benedykta. A znajdują tu już grunt dla siebie przygotowany. Wszyscy ci, których pociąga życie codzienne Kościoła, co na mszalikach i na brewiarzu kształtują swoja pobożność, ci liczni uczestnicy odbywanych w swoim czasie „Tygodni liturgicznych", czytelnicy „Hosanny" i „Mysterium Christi", czytelnicy „Roku liturgicznego" Guérangera, Parscha, Guardiniego, Herwegena i tylu innych, powitają w oblatach warszawskich swoich przyjaciół; będą się weselić słysząc ich zorganizowane głosy i echa, odpowiadajace na ich echo w duszy żywione nadzieje.

Takimi myślami przepełniony w dzień Trzech Króli b. r. w kaplicy św. Pawła w ręce opata Hildenbranda Vanucci'ego złożyłem profesję oblacką, w obecności trzech księży Polaków: ks. Morawieckiego z Sandomierza, ks. Berlińskiego z Płocka i ks. Gierevki z Warszawy. Były również obecne dwie siostry Nazaretanki — Polki. Po profesji zostaliśmy na nieszporach. Śpiewali je Benedyktyni tak równo, prosto i z taką kulturą, iż nie można było się powstrzymać, aby z mymi towarzyszami nie

podzielić się spojrzeniem wzajemnym, pełnym zachwytu. Dnia następnego pojechałem za Rzym w góry, odwiedzić klasztor benedyktyński „świętą pieczarę" — sacro speco — w Subiaco. Korzystając, że w Mandeli trzeba było czekać 3 godziny na autobus do Subiaco, poszedłem odwiedzić stary klasztor franciszkański San Cosimato. Jeden z ojców opowiada mi, że klasztor ten nigdy benedyktyńskim nie był, chociaż gościł u siebie św. Benedykta. Tutejsze zgromadzenie prawdopodobnie Sylwestrianów, zwróciło się do św. Benedykta, przebywającego w pieczarze w Subiaco, aby dał im swe ustawy i pokierował nimi. Kierunek św. patriarchy wydawał się im zbyt surowy do tego stopnia, że postanowili dać mu wino zatrute i tym sposobem zgładzić ze świata. Św. Benedykt błogosławi podany kielich, kielich pęka, trucizna wycieka na ziemię, a święty opuszcza ich na zawsze, udając się do swej pieczary w Subiaco. Na jednej ze ścian w pieczarze pod tym klasztorem można widzieć jeszcze mocno zniszczony obraz „al fresco", przedstawiający wspomniany wyżej cud św. Benedykta.

Bardzo piękna jest podróż autobusem do Subiaco z Mandeli. To na prawo, to na lewo ukazuje się jakiś szczyt górski ze wsią, czy miasteczkiem, skąd rzuca się w oczy, jakiś klasztor lub kościół. Samo Subiaco leży w miejscowośści niezmiernie malowniczej. Jeżdżą tutaj nie tylko pielgrzymi, ale i turyści z aparatami fotograficznymi i malarze ze swoimi sztalugami. Z Subiaco do Sacro Speco jest ze trzy kilometry w górę. Po drodze zwiedzam klasztor św. Scholastyki. O. Roberti pokazuje nam różne starożytne osobliwości z biblioteką na czele, gdzie znajdują się pierwsze druki włoskie. Po dość trudnej drodze idę jeszcze z kwadrans pod górę. A oto Sacro Speco. Klasztor pod szczytem górskim, zwieszają się nad nim olbrzymie złomy skał, aż lęk bierze, gdy się pomyśli, że mogą się przy jakimś większym wstrząsie oderwać i spadłszy na klasztor zdruzgotać go na miazgę. Przewidzieli to ostrożni ludzie i przymocowali skały do ich podstaw dużemi żelaznymi sztabami. O. Rafał pokazuje mi wszystkie osobliwości. Nie można się oderwać od obrazów piękniejszych jeden od drugiego; niepospolite wrażenie robi obraz, przedstawiający wizytę św. Benedykta u św. Scholastyki w momencie, gdy święta, aby zatrzymać brata swego, wyprasza u Boga burzę i w ten sposób może słuchać do świtu jego opowieści o Bogu i życiu wiecznym. Największe wzruszenie jednak ogarnia każdego w samej pieczarze, gdzie widzimy rzeźbę św. Benedykta, kosz przedstawiający ten, w którym mu przesyłano pożywienie i ołtarz. O słodkie, niezapomniane chwile!

Przed wyjazdem z Rzymu otrzymałem zaproszenie na wieczór choinkowy do ambasady polskiej przy Watykanie, na

Piazza della Pilotta. Była tam prawie cała Polonia rzymska. Przybyli: O. Ledóchowski, jenerał Jezuitów, O. Bocheński, Dominikanin, profesor filozofii w Angelicum, ks. Dr. Wronka, rektor Instytutu Polskiego, ks. Dr. Młodochowski, rektor hospicium polskiego wraz ze swoją uczącą się młodzieżą kapłańską, Ojcowie Marianie, Zmartwychwstańcy, przybył również ambasador polski przy Kwirynale jen. Wieniawa-Długoszewski. Wieczór zaszczycili swą obecnością byli nasi nuncjusze, dziś kardynałowie: Pellegrinetti i Marmaggi. Kardynał Pellegrinetti prawie cały wieczór rozmawiał z księżmi polskimi po polsku, zdumiewająco prawdziwym akcentem. Niezmiernie miłe wrażenie wyniosłem z poznania ks. Dr. Wronki, ta dłuższa rozmowa z nim należy do niezapomnianych. Uradowała go bardzo moja benedyktyńska oblatura. „W naszą młodzież duchowną należy dziś koniecznie wpajać ideały życia benedyktyńskiego, mówił, ja sam z mymi alumnami cztery razy przerabiałem regułę benedyktyńską". Ale oto już nadchodzi czas odjazdu z Rzymu. Dopiero być w nim zacząłem, a już go opuszczam. O, święte moje Miasto, kiedy do Ciebie podejść, szukając w Tobie akcentów katolickich i wód żywych, tryskających tu żywotowi wiecznemu, to upusty Twe zalewają spragnioną duszę w takiej obfitości, że zapada gdzieś i znika wszystko, co jest ludzkie. Ten Wielki Rzym Mussolliniego, owe pomniki chwały i świetności politycznej stają się wtedy czymś bardzo małym i przejściowym. Te surmy odradzającego się imperium, jakże są ciche wobec głosów tych bazylik, miejsc, pamiątek i świętych kamieni, których wieki zagłuszyć nic mogą. One to świadczą o owej mocy głosu bożego: *Vox Domini confringentis cedros*. Ten głos przede wszystkim w Rzymie *revelabit condensa* (Ps. 28).

11-go stycznia przed północą wyjechałem z Rzymu. Tym razem wracałem przez Florencję, gdzie dworzec jest pewnie jednym z piękniejszych w Europie. Nie wysiadając jadę dalej na Weronę i Brenner, gdzie odbywa się graniczna rewizja. Znowu jesteśmy w Alpach, przejeżdżamy Innsbruck, w przedziale moim jest niezmiernie miła i inteligentna rodzina niemiecka z Hanoweru, ich uprzejmość wobec mnie jest po prostu uderzająca, zwłaszcza, że są protestantami. W Monachium przesiadłem się do pociągu idącego do Ratyzbony, gdzie miałem zatrzymać się na dzień następny. Piękne i starożytne to miasto sławne w świecie muzycznym ze swojej szkoły muzyki kościelnej, oraz sławne ze swego wydawcy znanego w całym świecie katolickim, Pusteta. W mieście tym ogniskowała się reforma muzyki wielogłosowej, a przyjeżdżali tu dokształcać się wybitni kompozytorowie kościelni; z Polaków byli tu: ks. Surzyński z braćmi Stefanem i Mieczysławem, ks. Gruberski,

ks. Gieburowski, Moczyński, Kowalski, z organistów: Józef Furmanik, Henryk Makowski i wielu wielu innych. Dyrektorem szkoły jest Karol Thiel, profesor Kromolicki z Berlina, wykłada kontrapunktu. Organy spoczywają w rękach Karola Kraussa i Józefa Lehnera. Historię muzyki wykłada Dr. Maks Schreiber. Chórom przewodniczy Dr. Teobald Schrems. W skład chóru wchodzi 60 chłopców i 30 mężczyzn. Heinrich Kamerer wykłada śpiew grogoriański. Karol Kindsmüller — łacinę; Lorenz Rosner — liturgię, Fritz Hubsch — fortepian; wreszcie bibliotekarz Johann Maier — czytanie i granie z partytur. Lekcje zaczynają się 1 października i trwają do 15 lipca. Z Polaków w tej chwili nie ma tam nikogo. Zresztą wobec podniesienia się poziomu muzyki kościelnej w Warszawie w Konserwatorium i Towarzystwie Muzycznym i w innych szkołach wyjazd naszych absolwentów do Ratyzbony już nie jest konieczny. Z Ratyzbony do Berlina przybyłem rano. Cały dzień poświęciłem oglądaniu miasta. Katolików w Berlinie jest z górą pół miliona, więc bardzo obco się nie czułem. Mój strój duchowny nikogo nie dziwił i nie spostrzegłem gdziekolwiek, aby ktoś komuś na to zwracał uwagę. Dzięki temu, że nie byłem w świeckim ubraniu, spotykałem nieraz życzliwe mi katolickie twarze. Jakiś młody Niemiec student, czy urzędnik śmiało podchodzi do mnie i przedstawia się: „Ich bin katolisch“ i ofiaruje się do usług. Ta solidarność w wierze, co to w jednym momencie ludzi obcych zbliża do siebie, chwyta za serce.

Po powrocie do Warszawy tegoż dnia korzystając z władzy mi nadanej przez opata św. Pawła w Rzymie przyjąłem profesję oblacką od dwóch osób, a w 10 dni później od trzech osób. W ten sposób Warszawie przybywa grono ludzi, które pielęgnując ideały życia benedyktyńskiego, mają za zadanie wnosić w społeczeństwo polskie owe dwa najczystsze pierwiastki katolickie: modlitwę liturgiczną i wytryskające z tej modlitwy życie chrześcijańskie.

X. H. Nowacki.

Nareszcie.

W drugim numerze liturgicznego czasopisma: „Mysterium Christi“ b. r. jest artykuł „Laik i liturgia“. Jest on tłomaczeniem z niemieckiego. Autor, Oskar Bauhofer, Niemiec rozprawia się z tymi, co radziby widzieć w kościele łacińskim, jako język liturgiczny nie łacinę, a języki narodowe. Artykuł to aktualny niezmiernie; samo istnienie jego dowodzi, że w Niemczech pod tym względem zaczynają zdrowo, po katolicku myśleć. Przyznaję, że od czasów powojennych, bardzo trudno było

spotkać gdziekolwiek artykuł w obronie sakralności języka łacińskiego. Przeciwnie nawet trafiali się teologowie, broniący tezy o potrzebie narodowego języka liturgicznego. W Niemczech podobnych mniemań było bardzo wiele. Nawet O. Parsch nie był pod tym względem bez zarzutu. I w Polsce od czasu do czasu można było spotkać większe lub mniejsze wywody na ten temat na łamach kościelnych czasopism. To też z prawdziwą radością notujemy ten pocieszający objaw, że „Mysterium Christi“ artykuł Bauhofera przedrukowało. Niechże nasi katolicy wiedzą, „że żądanie języka ojczystego w liturgii wypływa zazwyczaj z wątpliwego i ciężkiego w skutkach nieporozumienia i że w każdym razie może ono pogłębić to nieporozumienie: — a mianowicie, że używanie ojczystego języka w liturgii spełnia zasadniczy warunek do zrozumienia liturgii... Niezrozumiałe jest, dlaczego by liturgiczna modlitwa w czcigodnym języku Kościoła miała postawić wał między kapłanem, a ludem, albo uniemożliwić, lub rzeczywiście utrudnić współudział w liturgii. Powie się, że to utrudnienie polega co najmniej na tym, iż prawdziwy współudział w łacińskiej Mszy św. jest wprost niemożliwy bez poprzedniego przygotowania. Ale chyba sens liturgicznego odnowienia nie tkwi w tym, by uwolnić się od poważnego przygotowania do udziału w świętych misteriach! Do należytego przygotowania należy w każdym razie zagłębienie się w tekstach. Łacińska forma liturgii napewno nie stanowi przeszkody dla aktywnego współudziału laików w liturgicznym nabożeństwie i dla włączenia ich w pełne liturgiczne życie Kościoła. I kto gwałtownie nie zamyka oczu dla nadprzyrodzonego życia tętniącego w świętej liturgii, ten używając języka łacińskiego, nie może się zawieść co do swego wewnętrznego zrośnięcia się z liturgią, a raczej doświadczy wręcz czegoś odwrotnego“.

Trzeba widocznie było prześladowania Kościoła w Niemczech, żeby w ucisku dopiero poznawać i doceniać, czym jest język łaciński dla katolicyzmu łacińskiego obrządku. Prześladowany Kościół nie może się chronić za narodowym językiem, szuka łaciny, bo ten sakralny język jest językiem kilkunastu wieków Kościoła i językiem wielkich przestrzeni, językiem ustalonych prawd, dogmatów, prawa i modlitwy. W nim Niemiec, czy Francuz, czy Polak będzie się czuł mocno, bezpiecznie i swojsko. Pewien Polak doktór, mówił mi, że przed wojną na Kaukazie był w pewnym miejscu kościołek katolicki, gdzie co niedziela odprawiała się suma dla Polaków. „Ten kościołek z cmentarzem to była dla mnie Polska streszczona, wolałem jednak w kościele słyszeć łacinę, niż polski, bo mi ta łacina w kościele wydawała się bardziej polską, niż sam język polski.

W niej widziałem ogromną siłę wiary całego mojego narodu". Oto zdrowe katolickie zapatrywanie! W tym artykule przedrukowanym w „Mysterium Christi", widzimy uderzenie kilofem w skałę. Nareszcie! Daj Boże, by pękła. W tej akcji „Mysterium Chrysti", samotnym nie będzie.

X. H. Nowacki.

MEDIA VITA

Znajdujemy w niej to, co tak jest cenne w każdej modlitwie, mianowicie poczucie nicości człowieka i jego tymczasowości w tym życiu; słuchając tej melodii, odczuwa się tragizm życia, które bez Boga jest przepaścią nędzy i udręczeń, a jednocześnie widzi się, że innego wyjścia nie ma tylko zaufać i oddać się Bogu; w Nim jest bowiem jedynie ratunek i zbawienie. Nadaje się znakomicie do śpiewu w czasie prywatnych nabożeństw, lub procesji, przed lub po nieszporach. Utwór ten ma niesamowitą moc i pozostawia w duszy niezatarte wrażenie. Potęga sekwencji „Media vita" okazuje się w pełni dopiero wtedy, gdy ją śpiewają tłumy, bo też w średnich wiekach gromadziły się tłumy, by ją śpiewać, a jak oddziaływała na nie, można sądzić z tego, że ludzie wrażliwsi, słysząc ją, nie wytrzymywali jej ogromu, mdleli, tak, iż w niektórych miejscowościach nie wolno było jej wykonywać. Dla pokoleń współczesnych, których zmysł religijny jest stępiony pieśń ta będzie jak potężne uderzenie dzwonu, budzącego ze snu ciężkiego do radości życia z Bogiem.

Cena z akompaniamentem 80 gr.

